



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Do szczegółowych opisów działów przeróżnych, tyczących się higieny, nie biorę się w tej chwili, czekając stosowniejszej pory, gdy niezapełnione jeszcze miejsca na Wystawie zapełnią się stosownymi przedmiotami i okazami, gdy ruch na placu koszykowym dziesiętkrotnie się zwiększy, a człęk w umyśle swoim będzie miał całokształt owego po pisu i sam się lepiej przyjrzy wszystkiemu.

Tymczasem zadaję sobie pytanie: czy jest podobieństwo między szwecem i kronikarzem?

A jest!

Naprzykład?

Oto takie: szewc szyje buty kronikarzowi, a i kronikarz porządne także bucieta uszyć potrafi choćby spółce spożywczej pod firmą *Merkurego*. Tej roboty podjął się *Quis* (a któż go nie zna?) tylko, że jego buty są roboty doskonałej, a podjął się tej pracy w celu ogólnego dobra, które niejednemu może na sercu leżało, ale, tak — jakoś, wystąpić z inicjatywą poprawy zła, to — panie dobrodziej — nie chciało się dla takich lub owakich względów i względzików, po co się zresztą narażać ludziom, którzy, osobiście, nie zaszkośli nam w niczem, a gadać będą, a kręcić nosami, i *pietra* jakiegoś napędzą, że aż zółte w wątrobie się wzburzy i człęk niestrawności dostanie. Po co to, na co, czy nie lepiej stać sobie na uboczu i przez palce na wszystko spojrzeć? — Wygodniej, no — i bezpieczniej.

I tak robili sobie...

Tymczasem, gdy dużo takich zuchów się znajduje, drzemie opinia, drzemie przekonania, drzemie enota, drzemie uczciwość społeczna, spała sobie i snem błogosławionych spożywcza spółka *Merkurego*.

Aż oto ktoś ją potracił.

— Kto tam?

— A to ja — *Quis*?

— Czego chceś?

— Czas ci się rozbudzić, szybko nogi *Merkury*, boś zdrzemnął się tak uczciwie, że nie wiesz już sam jaki masz dobór artykułów spożywczych. Zbudź się, *Endymionie*, kochanku ruin, zwolenniku jełkiego masła, jaj mikroskopijnych, cukru zmieszanego z miałem a cen słonych.

A wy, szanowne gosposie i gospodynie, zechciejcie głos zabrać w tej sprawie i powiedziecie, czy śpiewam fałszywie, czy kieruje mną jaka niechęć lub wola zła, czy tylko dbałość o dobro ogółu i samego Towarzystwa?

Zabrzmiała pobudka...

— Hop — hop! zawołał *Quis*...

— Jesteśmy! odezwały się gosposie i gospodynie — i jeszcze dodały: czekałyśmy tylko na to wezwanie, ale dotąd tak jakoś cicho było dokoła, że sameśmy nie wiedziały, czy masło jest jełkie czy nie, czy droższe, niż targowe, a kury czy zawsze takie małe jaja niosą? Mimo jednak hypnozy Stowarzyszenia, czułyśmy niesmak w ustach, a o kurach lepsześmy wyobrażenie miały. Ale oto odezwał się głos twój, o *Quisie*! głos, który nam rzekł: że możemy wystąpić ze słusznymi żalami i liczbą podpisów naszych zaświadczyć o śnie „*Merkurego*“.

Posypały się listy, podpisane nie znaczkami małego mówiacem, ogłędami pseudonimami, ale całemi imionami i nazwiskami malkontentek, z wymienieniem sumiennem daty dnia i roku, ulicy i numeru zamieszkania.

Drzemiąca obudziła się odwaga.

I dobrze!

Mniejsza o to, czy większość będzie po stronie p. *Majakowskiej*, która mówi, że będąc stowarzyszoną przeszło lat piętnaście, na zasadzie tyloletniego doświadczenia „doszła do przekonania, że najmniej korzyści nie otrzymuje, tylko stratę, a to z tego powodu, że ceny niektórych prowiantów są droższe

niż w mieście, przytem niektóre przedmioty są w lichym gatunku, jak były rodzenki i migdały zmuszały na Wielkanoc, a przecie płaciło się za funt 50 kop.“

I dalej:

„Dziś masło solone u *Merkurego* kosztuje 32 kop. funt, a ja kupuję dobre, smaczne i to w sklepie polskim (i to smutne nasunęło mi myśli. *Przypisek mój*) po 25 kop., czyli na każdym funcie mam zysku 7 kop. i to od razu“. „Za kopę jaj żądają rs. 1 kop. 5 — a ja w mieście kupuję po 90 kop. a mniejsze po 80, więc różnica ogromna. Z tego wynika, że jako stowarzyszona nie mogę brać wszystkich przedmiotów w sklepie stowarzyszonych, więc dywidenda nie przynosi mi żadnych korzyści, bo zarząd nie stara się ani o dobry towar, ani o cenę, równającą się cenom targowym“.

Mniejsza więc, czy większość głosów będzie za p. *Majakowską*, czy za panią *Lucyną* *Ćwierczakiewiczową*, broniącą dobroci sprzedawanych towarów u „*Merkurego*“ — *Zarząd* Spółki przetrze trochę zaspiane oczy i dojdzie do przekonania, że *dolce far niente* nie każdemu i nie zawsze się udaje. Choćby murowane zdanie wyrobił o sobie, że wszystko, co robi, dobrem jest — w każdym razie, podczas snu najśłodsze nawet, najzłociściejszych marzeń, pewności kamiennej o dobroci sprzedawanych artykułów — posłyszysz szept:

— A migdały zmuszały?..

— Bajki! — mruknie.

— A masło solone po 32 kop. za funt?..

— Nieprawda!

— A rodzenki sparciałe, a jaja wielkości grochu, a figi marynowane?..

— Ojej... coś taki być musi... Za dużo krzycha!..

I volens nolens musi obudzić się ze snu najśłodsze, najzłociściejsze przerwać marzenia, wejrzieć w oddaną sobie instytucję, by te utrapione szeptu nie prześladowały go, jak duch Banka, *Makbeta* krwawego.

O Quisie, burzycielu spokoju ludzi nie nie robiących, i trzeba ci było wtrącać się do fig marynowanych i zmurszałych migdałów? Ale coś zrobił, toś zrobił! — i do tego nikt nie powie, żeś źle zrobił!

Zbliża się chwila bardzo ważna w życiu zamozniejszych mieszkańców Warszawy — chwila odlotu tego szczęśliwego ptactwa do gór, do wód, do zatok morskich.

Szczęśliwi!

Ale jak wy nazwiecie tych, którzy przykuci do taczki roboty codziennej, ze zmęczonym umysłem i sercem, wzrok tylko smętny będą mogli posłać za nimi? A przecie i w ich głowach słońce świeci, a w piersiach budzą się pragnienia i pożądania szerszego świata, lżejszego powietrza a przynajmniej spokoju, spokoju i spokoju!

Zamilczmy — bo czuje ból piekący, z ust grzeszna skarga wylata na wyrok nieznanym, a śmiertelników rozumem sądząc — niesprawiedliwych losów. Roztkliwia mnie kwiat każdy, który umiera pozbawiony blasków słonecznych, żal mi motyla, gdy dłoń okrutna skrzydło mu wyrwie, a cóż gdy na miejscu kwiatu i motyla postawić to stworzenie Boże, które się człowiekiem nazywa?

Zamilczmy więc — niech w ukryciu pękają serca, łamią się rozumy, umysły ogarnia szal!

O! i przyszło mi na myśl piekło, a z niem autor Boskiej Komedyi i tłumacz tego arcydzieła chrześcijańskiej epopei — Edward Porębowicz. Doskonałe przekłady różnych arcydzieł literatury wszechświatowej mają różne europejskie narody, my zaś przyswojeniem ich piśmiennictwu naszemu nie możemy się pochwalić. Może brakło talentów, może brakło cierpliwości, może zresztą tej koniecznej nauki, która jest nieuniknioną przy pracach podobnych.

Gdybyśmy jednak dociec chcieli właściwych przyczyn tego marudstwa, to do całkiem innych doszlibyśmy wyników: znalazł by się i talent i cierpliwość i nauka. Ale trudno było uprawiać glebę obcą, gdy we własnej zagrodzie nie jeden kołek wyjęto, drzwi podważono, rozczochrano strzechę. Tu i tam potrzeba się było oglądać, lepić, sklejać, przygotowywać gniazdo bocianie, bo kołodziej zaspiał sprawę a brat sąsiad podpórke usunął. W śpichrzu zboże zatechło, do lamusa dobrały się szczyry, gdzie rzucić okiem wszędzie braki i braki, ani porządnego u drzwi zameczyska, ani sierpu, któryby wyszczerbionym nie był, ani własnego zastupa do skopania grędy ogrodowej, a i pastusza fujarka nie zielonej, o liściu szerokim kalinie śpiewała. Musiało się na pierwszym planie własne ochędostwo postawić, połatać dziurawe suknie, rodzimą pietruszką grzędę pozasiewać, rutę i barwinek koło chałupy posadzić a później myśleć o aloesach i rododendronach. Lecz odbywały się próby przesadzania i tych zamorskich roślin.

Juljan Korsak dał nam przekład Boskiej komedyi Dantego; w swoim czasie głośno było u nas o dokonanym tym trudzie sumiennego, lecz słabych sił tłumacza. Olbrzym przytłoczył go swoim ciężarem i wyszło dzieło bezbarwne, bez dantejskiej prostoty a wzniosłości zarazem, szwankujące pod względem dokładności tłumaczenia, nie dające najmniejszego pojęcia o formie użytej w oryginale.

Bo też to nie lada rzecz była przetłumaczyć arcydzieło Dantego tercynami.

Ta forma misterna i rymów bogactwo najsmielszych odstraszało słuchów. Mickiewicz parę ustępów przełożył i równie tercynami dał za wygrane, zresztą ten samodzielny talent wolał sam tworzyć, niż ciału obce we własne ubierać szaty. Wyszło później tłumaczenie Dantego (Stanisławski) białym wierszem — tu, brak rymów, tej muzyki wiersza, nie może okupić dosłowność nawet tłumaczenia. Przed paru laty „Bluszczy“ dał czytelnikom swoim parę ustępów „Piekła“, pisał p. Aleksandra Krajewskiego, ale cóż, gdy tylko parę ustępów było tłumaczonych, a tłumaczenie to było tak świetne, że gdybyśmy w ten sposób mieli spolszczoną całą komedię — bez przesady powiadamy, że nie lepszym byłby sam oryginał.

Aż oto, pan Edward Porębowicz podjął się olbrzymiego zadania i wykonał je z całym mistrzostwem. Dość już byłoby przeczytać parę ustępów, które pojawiły się w majowym zeszycie „Ateneum“ — by dłoń do okłasku złożyć. Po świetnym przekładzie Odysei dokonany przez Siemińskiego, mamy

teraz drugie arcydzieło przyswojone piśmiennictwu naszemu... Homer i Dante — to ładne stadło!

Ale — zawczasie jeszcze do radości.

Porębowicz spełnił zakreślone przez siebie zadanie, nie żałował wielkiego wysiłku pracy, by jedną szczerbę w literaturze ojczystej zapełnić. Lecz dzieło wykonane jest w połowie, bo, dopóki nie zapozna się z czcionkami drukarskimi, szczerba szczerbą zostanie, szeroki ogół lubować się pieśnią dantejską nie będzie.

Boską komedię w tłumaczeniu Edwarda Porębowicza potrzeba wydać!

— Hop, hop, panowie nakładcy!...

Czekamy na odpowiedź!...

Wstyd byłby okrutny, ażeby wołanie nasze pozostało bez echa. Wstydzicie się wprowadzić nie ja będę, a jeżeli zarumienie się, to — nie za siebie.

W tych dniach zwiedzaliśmy malarsko-przemysłową szkołę pani Alicji Nowińskiej, znajdującą się przy ulicy Senatorskiej pod Nr. 36. Szkoła ta liczy zaledwie trzy lata swojej egzystencji, ale, dzięki umiejętności prowadzenia nauk przez założycielkę, rozwija się bardzo dobrze, bo z każdym rokiem uczenie przybiera a obejrzane przez nas roboty mówią o rzetelnym postępie i umiejętnej ręce kierowniczkii. Szkoła posiada trzy kursa, i niema zakreślonego czasu do ukończenia wszystkich, gdyż to zależy od zdolności uczących się i powolniejszym lub szybszym postępie tychże. System ten ma wiele za sobą cech dodatnich, i jest najlepszą wskazówką, że kierowniczką zakładu nie powoduje się tylko materyalnymi względami, nie wiąże czasem swych wychowanie, który ze względu zysków ma niepoślednie znaczenie, lecz pozostawia przejście całego kursu wrodzonym zdolnościom i pilności.

Przejrzyjmy więc po kolei wszystkie kursa i widziane roboty.

Kurs pierwszy. Poniedziałki i wtorki, od 11-ej do 2-ej. Tu wchodzi: *Rysunki z gipsu i wzorów, palenie rysunków na drzewie (Brandarbeit) Spritzarbeit, naśladowanie inkrustacji.*

Widziane przez nas kartony, wykonane ręką uczenie, nie pozostawiają nic do życzenia. Prześliczne są wypalanki na drzewie, a naśladowanie inkrustacji za pomocą szkła skrobanego, przedstawiają się bardzo wdzięcznie i są dowodem ogromnej cierpliwości rącek dziewczęcych.

Kurs drugi. Środy i czwartki, od 11-ej do 2-ej. Tu wchodzi: *malowanie na drzewie, skórze, porcelanie, aksamicie, atlasie, szkle, malowanie gobelinów i wachlarzy.*

Dział ten przedstawia się bardzo zajmująco. Najciekawszym okazem dla nas było wypalanie na skórze, które do złudzenia naśladuje rysunek. Roboty te potrzebują dużej wprawy i uwagi, bo łatwo jest skórę przepalić i uczynić ją podatną do łatwego zepsucia się. Bardzo ładne ekrany mile wzrok nęcą, a gobelin w stylu Ludwika XVI, doprawdy jest cackiem w swoim rodzaju. Prawda, że on jest dziełem rąk samej pani Nowińskiej.

Kurs trzeci. Piątki i soboty, od 11-ej do 2-ej. Tu już widzimy: *portrety robione z natury i z fotografii węglem, kredą, pastelami, farbami wodnymi i olejnymi, malowanie fotografii.*

Obejrzawszy wszystko sumiennie, możemy pochwalić, życząc założycielce powodzenia i zachęcić tych wszystkich, którzyby chcieli, jeżeli nie dla zysku to dla własnej przyjemności godzin parę poświęcić wdzięcznej a pięknej pracy — nie omijać pani Nowińskiej zakładu, lecz uczestnictwem swoim pozwolić zacnej myśli przewodniczącej, rozwinąć się bardziej i szkole malarsko-przemysłowej stanąć na stopie, na jakiej znajdują się tego rodzaju zakłady zagraniczne.

Miedzy widzianymi przedmiotami zwróciła szczególnie moją uwagę *rzeźba szwedzka*, według której wykonana szkatułka jest małym arcydziełkiem. Stół i dwa krzesła w stylu staroniemieckim, odznacza się równie bardzo ładnym wykonaniem, jest tam i niziutki stolik o blacie ozdobionym czysto swoim motywem, bo widzimy tam tańczącą rybę z rakiem, pietruszką z pasternakiem tylko na bal nie przyszła — a szkoda! Opłata za kurs nauki miesięcznej wynosi rs. 8, lekcje zaś rysunków 2 razy tygodniowo, 4 rs. miesięcznie, w połączeniu zaś z kursami rs. 10.

??

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Jak tu było miło, jak spokojnie! Po przez białe muśliny firanek poruszanych wiatrem, przekradał się jasny promień księżyca, obrzucając łagodnym blaskiem zawieszony w półcieniu na przeciwległej ścianie portret Edwarda.

Światło lampy, osłoniętej zieloną umbrellką, dochodziło tutaj bardzo słabo, a w fantastycznym oświetleniu księżycowym twarz ukochanego wydawała się jej jeszcze piękniejszą.

Pani Dembińska nie zauważyła wejścia Amelii. Stosy białego płótna piętrzyły się przed nią na stole; w rękach staruszki migała z nieporównaną szybkością igła.

Zawczasu już przygotowywała podarunek gwiazdkowy dla dzieci w ochronce, której była opiekunką.

Amelka przyglądała jej się z zajęciem.

Piękną była ta twarz szlachetna w obramowaniu delikatnych szlerek czepeczka i rzadką pogodą ducha jaśniała. Życie spędzone pożytecznie w zgodzie samej z sobą, nie szarpane nerwami, oszczędziło jej rysy, nie ryjąc bruzd starości, a tylko siateczką zmarszczek pokrywając skórę białą jeszcze i delikatną.

Spokój i harmonię miała w duszy i roztaczała je w koło siebie.

Cichą pracownicę, za którą tylko czyny mówiły, świat otaczał szacunkiem i przywiązaniem.

Ślady pracowitej jej ręki, światłego umysłu i trzeźwej, zdrowej rady spotkać można było wszędzie.

Amelia rozmarzonym spojrzeniem obejmowała kolejno pochyloną głowę staruszki i myślącą twarz Dembińskiego, wychylającą się ku niej z ram portretu. Czegoby ona nie oddała za to, gdyby jej dozwolono w tem cichem życiu mieć jakiś udział...

Posunęła się ku Dembińskiej, witając ją z tkliwością córki.

— Stęskniłam się do Zambrówki — wyrzekła, całując rękę siwowłosej kobiety.

Dembińska powitała ją z żywym zadowoleniem.

— A! przypomniałaś sobie wreszcie o nas, kochanko... — zawołała. — Jakżem ci wdzięczna! Edward tak bardzo teraz zajęty... Prawie zawsze samą mnie zostawia... A tu starość ma to do siebie, że tęskni do widoku młodych, kwitnących twarzy.

Amelia spojrzała na nią z uśmiechem.

— Pani nie powinna o starości mówić — zauważyła. — Pomimo srebrnych włosów, uśmiech pani młody pozostał i oczy i humor... A umysł taki świeży, że niejedna z tegoczesnych rozdenerwowanych panien pozazdrościłaby go mogła. Ale czemu to p. Edward taki zajęty?

— Każdą wolną od zajęć obowiązkowych chwilę poświęca pisanu — odparła Dembińska. — Pragnie koniecznie z końcem tego roku drukować swoje dzieło.

— A więc to jest zapewne przyczyną zmiany, jaką od pewnego czasu zauważyłam w panu Edwardzie — odezwała się Amelka, siadając przy stole. Podjęła skrajaną koszulkę dzieciinną i szyć zaczęła.

— Istotnie — potwierdziła Dembińska — potrzasała smutno głową. — Humor Edwarda zmienił się niesłychanie. Nie uwierzysz kochanko, jaki się stał w ostatnich czasach drażliwy i jak zmizerniał.

Amelka stłumiła westchnienie.

Nie trudno jej było przyczynę tego odgadnąć.

— Dawno miałaś list od Jani, Amelciu? — spytała Dembińska. — Tak długo nie byłaś u mnie, czemu

się zresztą nie dziwię, przy takim nawale zajęć, że nie wiem zgoła, jak tam sobie Jania poczyną między obcymi.

— To już drogiej pani wiadome zapewne — odrzekła Amelka — że Jania zamieszkała u ciotecznej brata mamy, który już od lat 15 mieszka w Paryżu i nawet ożenił się z francuzką.

— Tak, wspomniała mi o tem twoja matka, kochanko, ale więcej nie wiem. Jakże, czy Jania sympatyzuje z krewnymi? Czy dziewczeczka nasza znajdzie przy ich domowym ognisku choć trochę tego ciepła, do którego nawykła?

— Jak dotąd, Jania wydaje się dosyć zadowolona — odparła Amelka — chociaż wiele na to, co pisze, liczyć nie można. Dla spokoju mamy i mego gotowa wszystko przedstawiać w jasnych barwach. Pracuje ogromnie, po całych dniach, a nie raz i nocach.

Pani Dembińska pokręciła głową.

— Byle tylko nie zanadto — wyrzekła.

— Taka mozolna, umysłowa praca może źle oddziaływać na zdrowie. Zmierznieje, zżółknie, wychudnie... Bo to i powietrza świeżego ani na lekarstwo i ruchu przyzwoitego mieć nie może, siedząc nad książkami.

— Jania pociesza nas — wtrąciła Amelka — że z czasem, gdy przełamie pierwsze trudności, praca będzie jej lżejszą i przyjemniejszą o wiele.

— Boże, mój Boże, co też to temu drogiemu dziewczęciu do głowy przyszło? — wyrzekła staruszka. — Szukać obcych bogów po świecie. Czy też nie domyślasz się, kochanko, co Janek skłoniło do tego wyjazdu? Nie będę przed tobą robiła z tego tajemnicy, że Jania zniweczyła moje najmilsze nadzieje i szczęście mego Edwarda. On biedak pokochał to kapryśne dziecko wszystkimi siłami duszy, a ja, w macierzyńskiej mej zarozumiałości sądząc, że Jania odwzajemnia jego przywiązanie, roiłam różowe plany ich wspólnej przyszłości. Ileż to samotnych wieczorów przemarzyłam słodko, widząc się już w myśli otoczoną gronem ukochanych wnucząt!

Amelka przytuliła głowę do piersi staruszki.

— I mojem najśłodszym było marzeniem — szepnęła — widzieć Janię idącą przez życie spokojną i szczęśliwą przy boku takiego jak pan Edward człowieka. I dla mnie był to bolesny zawód.

— Edward wyznał Jani, że ją kocha — opowiadała dalej Dembińska, — lecz wzamian dowiedział się, że jest jej zupełnie obojętnym.

— Dziwne to wszystko i niewytłumaczone dla mnie — odezwała się smutno Amelka — tembardziej, że śledząc bacznie uczucia Janki dla pana Edwarda, oddawna już pewną byłam, że go kocha.

— Czy wiesz, Amelciu, mój instynkt macierzyński szepce mi ciągle, że między tym dwojgiem jeszcze nie wszystko skończone. Zobaczysz, że mi Bóg pozwoli doczekać tej radości i pobłogosławić ich na wspólną drogę życia. Szczęścia mego ukochanego dziecka byłabym wtedy pewną, bo szlachetny charakter Jani dokładnie poznałam. I dlatego, choć mi smuci i korci ten wyjazd do Paryża, jestem o nią spokojna. Wiem, że to czysty jak łza dyament, którego nie przyćmić nie zdoła. Toż samo mówiłam i Edwardowi.

Amelka podniosła głowę.

— Dałby Bóg, aby przeczenia drogiej pani spełniły się — rzekła, całując rękę staruszki.

Nie mogła atoli zdać sobie sprawy z dziwnego uczucia, jakiego doznała, słuchając słów jej ostatnich.

Nie była to radość, o nie! Czula to doskonale. Raczej ukłócie, ból dotkliwy!

— Jakież to jednak brzydkie pierwiastki gnieźdzą się w sercu ludzkim — myślała w chwilę potem, płynąc po jeziorze w powrocie do domu.

Pierwszy raz była niezadowolona z samej siebie, i pod wpływem tego wrażenia zdawało jej się, że jest w rozterce nie tylko ze swem wewnętrznym ja, ale i z całą naturą.

Słiczny wieczór księżycowy stracił dla niej cały swój urok.

— Nie w ludzkiej jest mocy przeszkodzić, aby zarodki złego w duszy naszej istniały — myślała dalej — ale od nas zależy zniszczyć je, by nie rozpleniły się w chwast szkodliwy. Zgłuszę w sobie samolubne instynkty i pracą około szczęścia drugih wywalczę spokój utracony.

VI.

Listopad ze swoją mgłą, deszczem i przymrozkami nocnymi dawał się już dobrze ludziom we znaki.

Ostatnie liście z drzew wicher jesienny przeganiał po pustych polach, na огоłoconych gałęziach gromadami siadały wrony i kawki, radząc o zimie, która często głód wiedzie za sobą.

Wśród siedzib ludzkich uwijają się wszyscy z pośpiechem, czyniąc przygotowania na przyjęcie groźnej władczyni: otulają ściółką chaty i obórki, zwożą zapasy gałęzi na opał, a gospodynie krzątają się pilnie około przyrządzania kapusty, tego ważnego artykułu pożywienia dla wieśniaka.

W ogródkach błękitne kwiatki, marcinkami zwane, same jedne tylko urągają zimnu i słońcu, obracając główki ku blademu słońcu, które kiedy niekiedy wyjrzy na chwilę zpoza chmur opony.

Gospodynie w chałupach rej wodzą. Zimowe, długie wieczory, toć to pora ich panowania. Drą pierze, przędą len, wełnę, przygotowują krosna, na których wzorzyste wełniaki i białe płótno tkac będą z kolei.

W Zarzeczcu, w obszernej czeladnej kuchni dworskiej, na olbrzymim kominie ogień trzaska wesoło. Długie stoły na koziołkach, otoczone zydłami, obiadło grono dziewcząt młodszych i starszych. Druty, igły i szydełka migają w spracowanych palcach; Amelia dźwięcznym głosem czyta im zajmującą powiastkę, budząc w ustępach humorystycznych wybuchy śmiechu lub okrzyki zdumienia.

Dziewczęta ubóstwiają swoją panią, a i gospodynie nie bronią już córkom spędzać wieczorów we dworze.

Namacalna korzyść najłatwiej przemawia do ich praktycznych umysłów. Dziewczęta w krótkim czasie wyuczyły się najpotrzebniejszych w domowym użytku robót, i teraz oto w każdej chacie nie brak zapasu pończoch wełnianych, ciepłych chusteczek i czepków.

Ojcowie rodzin, wyjeżdżając do miasta lub do lasu po drzewo, z dumą wciągają ciepłe rękawice przez dziewczuchy swoje zrobione, i różnobarwnymi szalikami okracają szyję.

Zamożniejsze gospodynie z zadowoleniem w dniu świątecznym okrywają stół szydełkową serwetą, arcydziełem zręczności swych córek, a i na łózkach nie rzadko pojawiają się białe powłóczki ze wstawkami, zbytek dotąd w Zarzeczcu nieznanym.

— Juścić, Bogiem a prawdą, moje sąsiadki — mówi Matyska do kilku gospodyń, które z przedziwem zeszły się w jej chacie wieczorem, — na całą okoliczność drugich takich ucziwych szlachcianek jak nasze nie znajdzie. Kajby się zaś chciało zdarnowieckim pannom, albo tym z dembielińskiego dworu z chłopskimi dziewczuchami po wieczorach oto ślęczyć. Przecież to duża mitrega!

— Prawdę gadacie, kumo — odezwała się Grotkowa. — A jeszcze i to sobie miarkujcie, jaka to duża wytrzymałość potrzebna, nim się takiego głębia delikatności takich wyuczy. Moja Antośka, choć sprawna dziewczucha i wedle domowego obrządku duchem wszystko robi, a i to namęczyła się nie mało i panna nad nią, nim palce sobie nałamała do tych drutów i szydełek różnych. Ale za to teraz, to mówię wam, kumo, aż patrzeć dziwno, jak jej się w rękach kiejby śmigi u wiatraka migają.

Matyska pokiwała głową z uznaniem.

— A widzita, kobiety — zawołała, — że moje na wierzchu! Toć jeszcze na pochówku Gwiazdżiny przemawiałam się z wami, że nasza panna ucziwa i dobra dusza. Hardości w sobie nijakiej niema i do chałupy zajdzie, i chorego opatrzy, dzieciaka zamorusanego nieraz na ręce weźmie, pogłodzi po brudnej głowinie, albo i ucałuje.

— Moje dziewczuchy — odezwała się mileżąca dotąd Grzelina — to tak do naszej panny przylgnęły, jak muchy do miodu; a co ona rzeknie, w takim mają uwazaniu, akuratnie kiejby ksiądz na ambonie gadał. Wprzód to ich do roboty napędzić nie mogłam, wciąż ino z chałupy uciekały... Zwyczajnie młode to i głupie, a teraz niech rzeknę, co ich wieczór do panny nie puszcza, to mi ino w oczy patrzą i rozkazania mego słuchają.

— Wasza prawda, moje kumo — wyrzekła ze stanowczością Szczepanicha. — Naszym dziewczuchom chodzenie do dworu na szkodę nie wyjdzie, ale to,

co panna gromadzie ciągiem przekłada o karczmie i o różnych wymysłach, to tylko próżne bałamuctwo i przewracanie ludziskom w głowie. Powiedzcież ludzi, słyszane to rzeczy, żeby chłop miał do karczmy nie chodzić? Slachcie łatwo to gadać. W niedziele, albo i święta kompania się zbierze, jedzą, piją różności, a nie, to grają na tych tam fortepianach i trele wywodzą. A chłop kaj pójdzie? kaj przyjaćielstwo sobie znajdzie i rozweseli się, kiedy nie w karczmie?... Albo i przy pochówku na ten przykład. Toćby nieboszczyki musieli chudziatka sami w tę ostatnią podróż na ementarz wędrować, gdyby ludziska nie wiedzieli, co za tę chrześcijańską posługę półkwaterek wypiją w kompanii.

— Nie bajeie byle czego!... — odezwał się z powagą siedzący w kącie izby Matus, od lat kilku dobrowolny zwolennik wstrzemięźliwości w skutek nieczynionego przy spowiedzi ślubu. — Nieboszczyka na wieczny spoczynek odprowadzić, obowiązek jest chrześcijański, a kto dla półkwatereka idzie, wszystko jedno, jakby wcale nie poszedł. Czy to mało razy słyszeliście z ambony, jak nowy proboszcz zaprasza krewnych, sąsiadów i przyjaciół na nabożeństwo za dusze zmarłe, to zawsze na końcu głośno powie: „tylko bez poczęstunku...“ i tłumaczy nam dokumentnie, jako grzech jest wielki wstępować po uszy świętej do karczmy na pijatykę.

— Na to ksiądz, żeby gadał... — mruknęła Szczepanicha niechętnie. — Ja tam swoje trzymam, że karczma musi być, chłop musi pić i u karczmarza w kieszeni siedzieć.

— To się też i wasza gospodarka do karczmarzkiej kieszeni przeniosła — odezwał się Matus powoli, wyjmując z ust fajkę na długim cybuchu osadzoną. — Nie mój ta chłopski rozum wykalkulować, czy dobrze byłoby dla gromady tak, jak nasza panna radzi, trzymać sklep, zamiast u karczmarza na kredkę brać, ale tak se myślę, że jakby się ludziska przyzwyczaili, toby się bez karczmy obesзли, jako i ja się obchodzę. A gdyby tak wedle rady proboszeza i panią, przy sklepie wyręchtować dużą izbę, gdzieby się młodzi zabawili tańcowaniem mogli bez gorzałki, to juścić prawda, żeby obraży Boskiej i nieszczęścia przez pół ubyło.

— Wymyśli, mówię wam, wymyśli, mój Matusie — przerwała zaperzona Szczepanicha.

— Et, co tam z babami gadać... To samo co z wodą się bić... Wszystko mi tam jedno zresztą — zakończył dysputę Matus, a i kobiety zabrały się wkrótce do domu, gdyż stróż nocny dziesiątą wydzwonił.

W pałacu, w sypialniach uczennic, stosownie do przyjętego regulaminu, cicho już było zupełnie i światła gasły powoli.

Amelia według codziennego zwyczaju obchodziła sale, pilnując, czy wszystko w należytych jest porządku.

W końcu sali, zajętej przez łóžka Laury i Klimuni, usłyszawszy głosy podniesione.

— Głupia jesteś! — mówiła ostro Klimunia do stojącej przed nią pokojówki. — Zdejm mi natychmiast buciki.

— Paniąka nie ma prawa mnie wymyślać — powiedziała spokojnie dziewczyna. — Gdyby paniąka poprosiła grzecznie, z pewnością byłabym to zrobiła.

Amelia zbliżyła się szybko.

— Panna Cecylia cię potrzebuje. Róziu, idź do niej natychmiast — rzekła, udając, że nie słyszała sporu.

Pokojówka oddaliła się spiesźnie.

Amelia spojrzała z powagą na winowajczynię.

— O ile mi się zdaje — rzekła powoli — słyszałam z ust twoich Klimuniu wyrazy nieużywane w języku dobrze wychowanych osób. Ostro ton głosu również nie przystoi kobiecie, a tembardziej młodej panience. Czyż nie umiesz jeszcze zrozumieć, jak bardzo ubliżyłaś sobie niestosownem obejściem ze służącą? Rózia zawstydyła cię spokojnem panowaniem nad sobą, jakkolwiek jest prostą dziewczyną.

— Mama uczyła nas zawsze, że służbę ostro trzymać należy, bo grzecznem obejściem poufała się zanadto — odpowiedziała zuchwale Klimunia.

— Musiałas fałszywie zrozumieć mamę — wytłumaczyła chłodno Amelia. — Wszak widzisz, że ja zawsze uprzejmie zwracam się do służących, a mimo to nie lekceważą moich rozkazów. Mam na-

dzieje, że jutro grzecznym zachowaniem się wynagrodzisz Rózi dzisiejszą opryskliwość — dodała surowo, widząc wyraz oporu w twarzy Klimuni. — Pamiętaj przytem, że dopóki jesteś w naszym zakładzie, bućki będziesz zdejmowała sama. Tylko małeńkie dzieci, starcy lub chorzy mają prawo wymagać tego rodzaju posług.

Klimunia miała na ustach krnąbrną odpowiedź, lecz wzrok Amelii, z siłą w nią utkwiony, zamiar ten sparaliżował. Z tłumioną złością odwróciła się i rozbierała zaczęła.

Amelia, skończywszy przegląd sypialni, udała się do pokoju matki.

Po dniu pracowicie spędzonym była to jedyna godzinka odpoczynku.

Rozmowa z ukochaną matką orzeźwiała ją zawsze duchowo.

— Czy miałaś przykrość jaką, dziewczeczko? — spytała pani Helena, patrząc badawczo w twarz córki. — Wyglądasz bardzo zmęczona?

— Nie ważnego mateczko... — odpowiedziała całując matkę Amelia. — Nieodłączne od mego zawodu drobne niepowodzenia, które mężnie zniesć należy. Gniewam się tylko na siebie, że z właścicielką Góręk nie postawiłam kwestyi w ten sposób, aby ją zniechęcić do oddania nam córek swoich. O Henrysie mniejsza! ta jest jeszcze zbyt młoda i pokierować ją można, gdyby nie szkodliwy wpływ siostr i rodziców. Co do dwóch starszych, przynajmniej, że opanowywa mnie zniechęcenie. Czy ja jestem nieudolną, czy te charaktery zmienić jest już niepodobieństwem, dość że wszelkie próby, jakie czynię w tym celu, wypadają niepomysłnie.

— Trzeba brać te rzeczy chłodniej, moje dziecko — powiedziała pani Helena. — Musisz się zgodzić z tem, że zło istnieje i nie zawsze w naszej mocy zwyciężyć je. A zresztą, zostaw to czasowi. Takie zmiany moralne dokonywają się bardzo powoli i niewidocznie, pod wpływem otoczenia i cierpliwego oddziaływania w raz obranym kierunku. Za to inne twoje uczennice rozwijają się zarówno umyślnie jak duchem, na przykład Dobrzyńskie. Matka ich nie pozna, bo i fizycznie w tak krótkim czasie rozwinęły się znakomicie.

— To prawda mam — odrzekła z wewnętrznym rozradowaniem Amelia. — Wdzięczna i łatwa to praca kształcić tak bogato uposażone natury. Kocham te dziewczątka uczuciem matki.

— Cóż Cesia porabia? — zapytała pani Helena. — Czemu nie była u mnie wieczorem?

— Niezdrowa trochę. Zmusiłam ją do położenia się w łóżko, — odpowiedziała Amelia. — To także przedmiot mej troski, po Jani największy. Cesia bynajmniej nie czuje się zadowoloną ze swego losu. Praca ją męczy, zniechęca byle drobnostką. Kilka razy zesłam ją zapłakaną.

Pani Helena pomyślała w tej chwili, patrząc z dumą na córkę, że nie każda z kobiet, pogrzbawszy w ciszy serca pragnienia osobistego szczęścia, potrafi z taką wytrwałością i spokojem iść raz wytkniętą drogą zakreślonych przez samą siebie obowiązków.

— To biedne dziecko — odezwała się głośno — potrzebuje wielkiej pobłażliwości sądu. Jej słabość fizyczna pociąga za sobą słabość ducha. Takim upośledzonym istotom wydaje się słusznie, że same są ofiarami; trudno więc żądać od nich gotowości poświęcenia się dla innych.

— Ja też jej nie obwiniam, droga matko — zaprotestowała żywo Amelia — tylko cierpię nad tem, że nie mogę wyrobić w niej pewnego rodzaju obojętności na własną dolę i osobiste pragnienia. W jej warunkach na tej drodze jedynie możnaby spokój i zadowolenie osiągnąć.

— Zajrzę do niej jeszcze — rzekła, podnosząc się szybko Amelia. — Czy położysz się rychło, mateczko?

Pani Helena potarła dłonią czoło, jak gdyby troskę natrętą spędzić chciała.

— Muszę jeszcze napisać do Jani na jutrzejszą pocztę — odezwała się, tłumiąc westchnienie.

Nie chciała przyznać się przed Amelią, by nie zakłócać jej spokoju, że pożera ją tęsknota i obawa o tę ukochaną oddaloną dziewczynę, że w ciszy nocnej rzuca nieraz rozpaczliwe pytanie, czy wróci ona kiedyś pod dach rodzinny lub też utonie w tej fali ludzkiej jak tysiące innych? A jeżeli wróci, czy odnajdzie ją taką, jaką żegnała?

Amelia instynktownie troskę matki odgadła. Wszak była ona wyrazem własnych jej myśli.

Nie chciała jednak rozdrażniać jej więcej jeszcze rozmową w tym przedmiocie i z ciężkiem sercem opuściła pokój.

Wbrew zwyczajowi, w sypialniach Amelii i Cecylii długo w noc błyszczało dzisiaj światło.

Wieher jesienny wyprawiał dzikie harce w parku, akompaniując smutnemu nastrojowi młodych dziewcząt. Tylko gdy myśli Cesi krały w błędnem kole osobistych pragnień i żalów, duszę Amelii pochwalała trwoga o szczęście ukochanych.

Nazajutrz była sobota, dzień, w którym często właścicielka Góręk przyjeżdżała odwiedzić córki lub też zabrać je na niedzielę do domu.

To też po południu wspaniała jej karetą zatrzymała się przed pensjonatem.

— Panienci są w sali gimnastycznej — powiedziała Rózia, otwierając drzwi do salonu. — Panna Amelia kazała prosić, żeby pani była łaskawą poczekać w salonie, nim się lekcya gimnastyki skończy.

Pani z Pękalskich Szelażyńska, właścicielka Góręk, Zambrówki i wielu folwarków, uczyła się mocno dotkniętą.

Jakto? ta ordynarna pokojówka śmiała ją, jedną z najbogatszych obywateli w okolicy, zatytułować po prostu panią?

Otóż to skutki przewróconych pojęć tej guwernantki! — myślała z oburzeniem.

Tytułem guwernantki obdarzała zwykle w myśli Amelię, gdyż wedle jej pojęć stan ten, jako mniej więcej zależny, był zarazem upokarzającym.

Spojrzała z góry na Rózię wzrokiem, który jak sądziła, powinien był przybić do ziemi zuchwałą i odezwała się z przekąsem.

— Musiałaś, moja dziewczyno, nie służyć nigdy w porządnym domu, skoro nie umiesz oddać każdemu honoru, jaki mu się należy. Trzeba ci wiedzieć, że służba moja mówi do mnie: jaśnie pani, a do moich córek; jaśnie panny, rozumiesz?

— Rozumiem, proszę pani — odpowiedziała filuternie dziewczyna, tłumiąc uśmiech w kąciakach ust drgających. I gdyby kiedy zgodziła się w służbę do Góręk, toby też mówiła jak drudzy. Ale u naszych pań inny porządek.

— Gadaj tu z chamem! — mruknęła pani Szelażyńska a po chwili odezwała się cierpko:

— Nie mam czasu czekać, aż te tam jakieś gimnastyki się skończą. Ot, lepiej pokaż mi, gdzie to ta sala. Sama popatrzę na te nowomodne wymysły.

Wprowadzona przez Rózię, przeszła kilkanaście pokoi i nagle stanąwszy w otwartych przed nią drzwiach sali, wydała okrzyk przeraźliwy.

Amelia, mocno niezadowolona, z głębi sali szybko podeszła ku drzwiom.

— Co się stało? — spytała chłodno. — Czy pani zastała?

Pani z Pękalskich Szelażyńska nie zaraz odpowiedziała.

Oburzenie głos jej zatamowało.

Czy ona dobrze widzi? Wszak to jej ukochana Klimunia, przyszła ozdoba arystokratycznych salonów, zawieszona w powietrzu na drabinie, przebiega długimi nogami, usiłując napróżno dosięgnąć szczebla.

Tego było zanadto.

Słuszną wedle jej zdania przepełniona grozą, wybuchnęła, na nic już nie zważając.

— Co to jest, co ja widzę? Pani do cyrku chyba pupilki swoje kształcis? — wołała zaperzona. — A to śliczna edukacya! Tyle pieniędzy mam płacić za to, że moje córki fikają nogami w powietrzu! Ależ to oburzające! Linoskoczki chcesz pani uczynić z panien tak wysoko położonych!

Istotnie, Klimunia była w chwili obecnej wysoko, jeśli nie położoną, to przynajmniej zawieszoną. Wyrażenie więc matki nie było bezpodstawne. Twarz Amelii spłonęła rumieńcem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WŁOCH.

Nie wesoło tu u nas i gdy maj stroi czarownię tysiącami kwiatów pola i ogrody, ludzie smutni nie patrzą na to i najsolenniejszą uroczystością było tu w tych dniach nabożeństwo żałobne, odprawione bardzo wspaniale za dusze poległych w Afryce żołnierzy w starożytnej, wspaniale pięknej świątyni Rzymu, Ara Coeli, a dodać trzeba, że była przepełniona ludźmi wszelkich przekonań, bo w obec wielkiego narodowego smutku znikły zatargi stronnictw. Król Humbert z królową Małgorzatą w szatach żałobnych asystowali z całym dworem swoim tej smutnej uroczystości, a zebrani tu byli wszyscy dostojnicy państwa i znaczna liczba cudzoziemców, których nigdy nie brak w Rzymie. Król i królowa złożyli na katafalku dwa wspaniałe wieńce obok chorągwi z barwami Włoch, obleczonej czarną krepą, a dodać należy, że wszystkie wesołe zabawy, jakie zwykle maj tu przynosi, zostały usunięte. Przecież życie toczyć się musi torem swoim i gazety zapowiadają tu zjazd całej rodziny Orleanów, bo ożenienie się księcia Aosty z księżniczką Orleańską zadziergnęło węzły powinowactwa między dwoma rodzinami.

Rząd włoski wytoczył tu proces bardzo surowo traktowany poszukiwaczom starożytności, którzy przecież zajmują się tem nie z zamiłowania przeszłości; jestto poprostu niekieszonny handel pamiątkami, które powinny pozostać w kraju, jako zabytki historyczne, a któremi niecni handlarze kupczą nieuczciwie, wykupując je od wieśniaków, których w ten sposób demoralizują. Niedawno, bo niecały rok temu, wieśniacy, kopiąc ziemię pod mającą założyć się tu winnicę, wydobyli z jej łona marmuru wyposąg atlety w greckim stylu i trzy popiersia, z których jedno przedstawiało kobietę wielkiej urody, patrycyuszkę, jak to świadczyły strojące ją ozdoby, co wszystko razem sprzedali eichaczem za kilkanaście lirów jubilerowi we Frascati, który następnie odprzedał je niemieckim starożytnikom za 12,000 lirów, a ci zabierali się copędzej je wywieść, lecz przypadkiem rzecz się odkryła, prawy właściciel wytoczył proces i pokazało się, że stare te pamiątki warte były 70,000 lirów.

Leon XIII, mimo późnego wieku, krzepki jest jeszcze i właśnie w tym czasie przyjmował na prywatnej audyencji kanonika westminsterskiego, który mu przedstawił plan nowej bazyliki, mającej się wzniesić w Londynie. Zajmuje go wszystko, co się dzieje w państwie włoskiem i zmartwił go wielce smutny fakt, dowodzący, że mimo wszelkich usiłowań umoralnienia warstw ludowych, bandytyzm nie został jeszcze pokonany. Książę Sachsen-Meiningen, podróżujący wraz z małżonką, oraz poseł Ryszard Voss z małżonką także i pewna pani z Monachium zostali w tym czasie uprowadzeni przez bandytów w góry albańskie i uwolniono ich dopiero po złożonym okupie. Stało się to przecież w pobliżu Rzymu, bo tylko o siedmnaście kilometrów od tego miasta, w okolicy sławnej z piękności swych krajobrazów, w skutek czego odwiedzana jest bardzo licznie, zwłaszcza przez podróżnych. Ruiny starożytnego grodu Tusculum i stare zameczysko, opierające się jeszcze sile czasu, służą bandytom za twierdzę niezdobytą i jestto raną Włoch, że mimo nowożytnej cywilizacyi, plaga ta nurtuje Włochy, demoralizując lud.

Nie zagoiły się jeszcze jej rany, ale powoli stać się to musi, przecież dziś jeszcze trzeba to czynić zrzęcznie i rozumnie, dając jakoby upust namiętnej dzikości pewnych warstw ludowych. Że nieraz złe złem się zmywa, wojna afrykańska może tu być czynnikiem pożytecznym, jak to dowodził w izbie jeden z posłów sycylijskich; stare, zakorzenione wady nie dają się łatwo usunąć, ale ujęte zrzęcznie i rozumnie mogą się przetworzyć w działalność użyteczną i radzi, aby wieleć drobni grupami w armię te zdziczałe warstwy ludowe, dając im pole uszlachetniania się zwolna.

Pole to jest szerokiem. Jenerał Baldissera wyruszył przeciwko Abisynczykom na czele 22,000 doborowego wojska, opatrzonego w czterdzieści ośm

dział dla dania odsieczy obleżonej w forcie Adigratu załódze, którą głód zmusiłby wkrótce do kapitulacji, ale niełatwa to jest sprawa, bo 30,000 wojska abisyńskiego stoi pod bronią, zagradzając im drogę, a hufce te dzikie i bitne rozłożyły się na pochyłościach góry Fokada i wielkim jest niepokój w kraju całym, jak się sprawa ta rozegra? Wiadomości nie mogą przecież dochodzić do Rzymu dość prędko, bo fort Adigratu odległym jest od Barakitu, z kąd jedynie wiadomości mogą tu być przesyłane, o 40 kilometrów przestrzeni i niespokojnie też oczekują tu wieści, co się stało: czy bitwa między Włochami i Abisyńczykami już miała miejsce i jak się rozegrała? Wiadomym jest tylko, że pewna część armii włoskiej, która zostaje pod dowództwem generała Baldissera, udała się w stronę przeciwną, bo w kierunku wiodącym do Adui, więc w bitwie, która może być nazwaną walną, Włochy mogą wyprowadzić przeciwko dzikiemu nieprzyjacielowi zaledwie kilkanaście tysięcy ludzi i to już zmęczonych, upadających na duchu, bo, jak tu obleżono, na jednego Włocha przypadać będzie dwóch abisyńczyków, ludzi silnych, zahartowanych tym trybem życia pierwotnego, który rozwija dziką energią w obliczu nieprzyjaciela.

Ale włosy mają działa, a karność wojskowa połączona z taktiką daje im przewagę nad hufcami dzicy, wprawdzie gorąco zapalającymi się wśród walki, ale też idącymi w rozsypkę w razie niepowodzenia. Dodać trzeba, że środki ratunku rannych i chorych są w armii włoskiej wysoko rozwinięte, a czynnikiem wielce tu użytecznym są siostry miłosierdzia, których poświęcenie się dla cierpiących rodaków dochodzi do heroizmu. Towarzyszą one zawsze żołnierzom, wyruszającym w pole i nieraz widziano je zbierające rannych pod gradem pocisków nieprzyjaciela i ze szlachetnym zaparciem się uczuć nienawiści przeciwko tym, z którymi walcą Włochy, opatrujących z jednakową troskliwością rannych abisyńczyków, którzy też oddają im cześć jakoby świętym. Zrazu lękali się oni „białych twarzy“, jak je zowią, obecnie wyciągają do nich ręce z uczuciem nawiązywania gorącej wdzięczności.

Jedną z tych sióstr Angelika taki wpływ wywarła na te dzieci natury, że kilku rannych, którym mówiła o Bogu chrześcijańskim, zapragnęło przyjąć jej wiarę, a obok tego wódz tej dzieży, Agostafari, słysząc od żołnierzy swoich o tych uczynkach miłosiernych szlachetnej kobiety, wypuścił na wolność więźnego do niewoli porucznika Cimino i czternastu żołnierzy, opatrując ich na drogę w żywność. Na jeńców oddziaływają szczególnie pieśni pobożne, które siostra Angelika śpiewała.

Już to zamilowanie Włochów do muzyki nie odstępuje ich nigdy i w żadnych okolicznościach, można też powiedzieć, że jest im ona potrzebna do uzupełnienia życia, jak tego dowodzą tłumy ludu z klas wszelkich cisnące się na każdą nową operę, jak tego dowód świeży wykazało przedstawienie we Florencji, w teatrze Pagliano opery „Amy Rosart“. Natłoczyło się tam tyle ludzi, że według naszego wyrażenia, szpilka jużby się tam nie zmieściła, lecz doznano pewnego zawodu. Za to wielkim było powodzenie poranku, urządnego na cześć zasłużonego nauczyciela muzyki, Giovachiniego, a brało tu udział 44 skrzypków, 13 altowiolistów, 15 wiolonczelistów, 4 kontrabasistów i można powiedzieć, że była to biesiada tonów, jaką rzadko słyszeć można. Ale zagrała tu ludziami inna, ponura muzyka: w okolicach Wenecji i Werony szalała taka burza z hukiem piorunów i biciem gradu, że powybiłała połowę szyb w oknach, a między innymi uszkodzonym zostało starożytne, pysznie kolorowane okno w kościele katedralnym. Drugą niemłą też nowiną jest wiadomość o rozruchach w Sycylii, które doszły już do tego stopnia, że wysłano tam z Rzymu wojsko. Król Humbert, zawsze szlachetny i pojmujący wysokie swoje obowiązki względem narodu, udał się tam natychmiast.

August.

Kobieta abisyńska.

Abisynia, ten kraj zaludniony dziesięciu milionami mieszkańców, tak energicznie broniący się przed potęgą włoską, posiada cywilizację bardzo dawną. Prawdopodobnie cywilizacja ta istnieje dawniej, niż cywilizacja europejska, tylko postęp jej nie rozwijał się od głębokiej starożytności. Dzisiejszy władca, Menelik II, król królów Etyopii, pomazaniec Boży, lew-zwycięzca z pokoleń sławnych — jak się sam Negus tytułuje, pochodzi — według legendowej tradycji — od słynnej królowej Saby, która odwiedziła Salomona i wręczyła mu cenne podarunki.

Przyczyny obecnego stanu Abisynii łatwe do wytłumaczenia. Położenie tego chrześcijańskiego kraju, wespół negrów, arabów i muzułmanów afrykańskich, jest tego rodzaju, że dopływ światła Europy nie jest ustawiczny i ulegał często długotrwałym przerwom. Nadto Abisynia jest krajem zamkniętym, ponieważ wystarcza sobie: pożywienie, ubiór, wszystkie potrzeby żywota zaspokaja Abisynia własną produkcją i nie korzysta z wyrobów obcych. Abisyńczycy jedzą wołowinę i drób ze swoich gospodarstw, sami przędą sobie nici na suknie, używają piwa jęczmiennego, które wyrabiają u siebie, — jeżdżą wreszcie na mułach i osłach zamiast używać różnego rodzaju wehikulów.

Żyjąc tak odrębnie, Abisyńczycy przejęli tylko od swoich braci chrześcijan z północy: broń palną, jedwab, nieco monety srebrnej i rondle żelazne.

Władca Abisynii posilkuje się w ostatniej wojnie z Włochami pewną ilością armat i mitraliez francuzkich; żołnierze używają karabinów szybkostrzelnych.

Jedwab częściej jest przywożony w postaci nici, niżeli w tkaninach; nici te przy tkaniu mieszają się z bawełną krajową; ową pracę kobiety szozańskie, wypełniają z wielką starannością, przyozdabiając ją haftem i aplikacjami.

Mała liczba przedmiotów, sprowadzanych z Europy do Abisynii, ograniczała się dotąd do rzeczy potrzebnych i użytecznych dla ogółu ludności. Wprawdzie Kompania Francuzko-Afrykańska, która pozakładała swoje kantory w stolicy abisyńskiej, sprzedaje albo wymienia na złoto, kość słoniową, wiewrę, materje wełniane, bawełniane lub jedwabne, szkło, noże, różne sprzęty żelazne, skóry garbowane, dywany, oliwę, ocet, wódkę; ale wszystkie te przedmioty wyjąwszy może wódkę, kupują tylko ludzie bogaci. I tak w mieście Addis-Ababa sprzedawane bywają skarpetki, obuwie skórzane, pomimo to bogaci i ubodzy nie przestają chodzić boso, oprócz kilku „eleganek“, które śmiało kroczą po błocie, zanurzając w niem swoje... pończochy.

Dzięki dwóm podróżnikom, którzy najwięcej zbliżyli się do Negusa i długo przebywali w kraju Szoanów; to jest panom: G. Vanderheyem i p. Chefneux posiadamy wiele ciekawych szczegółów o narodzie, na który dziś oczy całej Europy są zwrócone.

Zanim przystąpimy do opisu zwyczajów i obyczajów kobiet abisyńskich, niezbędnem jest wprzód przedstawić miejscowość, w jakiej się znajdują, otaczające je krajobrazy, wioski, miasta i t. p.

Afryka w ogóle wystawiana jest przez zwiedzających ją podróżników, jako kraina skwarna, sucha przeplatana gdzie nie gdzie małymi oazami i drzewami palmowymi i to przekonanie trwa dotąd, pomimo zupełnie odmiennych świadectw tegocześnie badaczy i różnych fotografii. Wprawdzie w Abisynii znajdują się gdzie nie gdzie małe pustynie, ale myliłby się bardzo, ktoby sądził, że kraj ten przedstawia widok pęsepny, że jest nie urodzajny. Ojczyzna Szoanów, tego ludu pasterskiego i rolniczego, jest krainą pasterską jezior, rzek i dolin zacienionych. Drzewa znajdują się prawie te same co i we Francji: jodły, jałowce, klony i t. p. Pan Vanderheyem, wjeżdżając do stolicy Menelika, od stacyi Obock nad morzem Czerwonym, zachwycony był jadąc dalej prowincją Harrar, jej urodzajnością; grunt i klimat pozwalają tam dwa, a nawet trzy razy do roku żniwować, to jest podczas ośmiu miesięcy, pora zaś deszczowa jest smutna zimna i trwa cztery miesiące. Opuściwszy Harrar, p. Van-

derheyem jedzie drogą wzdłuż jeziora Haramaya, drogą uczęszczaną, gdzie spostrzega łąki zielone, których końca okiem dojrzeć nie można; od czasu do czasu małe wioski, i wody jasne, przezroczyste, wpływające do rzek ocienionych: przebywa piękne lasy, gdzie na gałęziach drzew kołyszą się całe rodziny małp. W miejscach wypoczynku, za małą zapłatę można dostać mleka, piwa, baraniny, masła, jaj, chleba. A otóż i rzeka Uasz, nie głęboka i spokojna letnią porą, ale która w porze deszczowej staje się bystrym potokiem, odrywa z gór ogromne kawały skał i zrzuca je ze strasznym łoskotem.

Trzeba między innemi coś nadmienić o rodzaju organizacji socjalnej ludu abisyńskiego. Słusznie porównano ją do rządu feodalnego średnich wieków. Około domów ludzi bogatych grupują się skromne pomieszczenia ich podwładnych lub służących; ci mają tam utrzymanie w nagrodę pewnych usług, oddawanych swym panom. Podobnie w wiekach średnich wasalowie osiadali w koło zamków magnackich.

Budynki z których bogaci Szoani rządzą i gdzie mieszkają są otoczone palisadą. W koło tych obszernych budynków wznoszą się małe domki podwładnych, wszystko znajduje się w ogrodzeniu, po za tem reszta mieszkańców żyje w lichych chatkach; najubożsi, karmią się tem, co im inni z łitości oddadzą. Miasto więc abisyńskie jest to zbiór pewnej liczby powyżej opisanych posiadłości. Miejscami odmiennymi czasem przedstawiają widok, ale mniej więcej można mieć z tego wyobrażenie o rzeczywistości.

Dzięki urodzajnej glebie, łagodnemu klimatowi, dzięki wreszcie temu, iż Abisyńczycy nie posiadają filozofii przedstawiania na małym, więc nie cierpią oni ani nędzy ani głodu. Na weselach, festynach, ucztach Abisyńczycy są bardzo łakomi.

Abisyńskie domy, większe, czy mniejsze, prawie zawsze mają kształt okrągły, leczą jedno piętro.

Budują je z kamienia, częściej z gliny, czasem z drzewa, dach na nich jest spiczasty, podobny do dachów wieżyc, — bywa robiony ze słomy, rzadko z dachówek, lub trwałszych materji. Wewnątrz jest długi korytarz, rozdziela go duża sala środkowa. Często i ten korytarz i ta sala podzielone są na mniejsze części. Ale bogaty Abisyńczyk woli posiadać jeden obszerny pokój, a że takich domów ma kilka sąsiadujących z sobą, więc każdy z nich ma swoje oddzielne przeznaczenie. Do sypialni oprócz pana i pani domu, dzieci, służącej wyłącznie oddanej na usługi pani, i służącego, będącego pod rozkazami pana, nikomu więcej nie wolno wchodzić.

Drugi „dom“ sąsiedni otwarty jest dla gości, tam się zgromadzają, tam jedzą, tam się bawią. Meble są bardzo skromne i nie liczne: łóżko szozańskie składa się z czterech słupków, połączonych deskami (w środku materac skórą pokryty), na których sypiają, prawie bez okrywania się. Tu i owdzie stoją ławki, stołki, rodzaj stołów krajowych, (nie mówi się tu o meblach sprowadzanych), ale wszystko odbywa się na ziemi: jedzą, rozmawiają siedząc na gruncie, ubitym i dobrze wysuszonym, albo na podłodze zasłanej słomą, tkaniną bawełnianą, albo dywanem — kogo oczywiście stać na ten zbytek.

W ogrodzeniu, o którym wyżej była mowa, w koło domów pana i jego podwładnych utrzymywane są ogrody. Sądzićby można, że tam się znajdują wspaniałe kaktusy lub rośliny o szerokich świetnych kwiatach, starannie uprawiane w tym ciepłym klimacie, ale i tu Abisyńczyk wykazuje swe zamilowanie w rzeczach użytecznych i koniecznych: uprawiają przedewszystkiem kapustę i niektóre warzywa europejskie, które bardzo lubią, najchętniej jednak jadają kapustę; posiekawszy ją, przyprawiają tak jak w ogóle wszystkie mięsa pieprzem tureckim, w ilości trudnej do uwierzenia, dodając do tego ostrą roślinę zwaną *berberi*. Musi to być okropnel

Oddalilibyśmy się za nadto od przedmiotu, gdybyśmy chcieli obszernie opisywać cesarza Menelika, cesarzową Taitu, *Guebi* (pałac cesarski, to jest kilkanaście domów, otoczonych murem kamiennym) i *Elfinię*, mieszkanie wyjątkowo wysokie, mające przywilej ochraniać życie monarchów.

*) Mowa tu jest o epokach zwykłych; w r. 1892 Abisynia cierpiała ogromny głód skutkiem złego systemu państwowego i nadzwyczajnych podatków.

Pan Vanderheyem był przyjęty przoz Negusa skurczonego w szerokim fotelu składanym, pokrytym pluszem koloru złota; potem widział go jadącego wpośród świty oficerskiej na mule pokrytym bogatym czaprakiem; siodło było haftowane złotem jako też i tarcza herbowa. Monarcha miał nad głową duży parasol czerwony ze złotymi frendzlami.

Od roku 1892 to jest epoki w której Menelik opuścił Ankober, stolicę państwa przeniósł do Addis-Ababa, w pobliżu starożytnej Etotto.

Nie ociągając się dłużej, przystąpimy do naszkicowania życia kobiecego wśród tego szczególnego narodu. Najlepiej będzie wziąć młodą Abisynkę, od jej urodzenia iść krok w krok za nią, przypatrywać się jej życiu wraz z matką, której nie opuszcza aż do chwili wyjścia za mąż.

Otóż jesteście wpośród rodziny dobrze się mającej, można by powiedzieć „mieszczańskiej“ jeżeliby to nazwisko mogło być tam przyjęte. Mała dziewczynka nowonarodzona, znajduje się w „pokoju sypialnym“ na małym łóżeczku podobnym do dużych, już ubrana w taki sam jedyny kostium kobiecy, który później będzie opisany. Matka sama obowiązana jest karmić swoje dziecko do chwili odstawienia go od piersi, używanie mamek jest nieznane, a nawet wzbronione. Jeżeli słabość albo inna przeszkoda nie pozwala matce na karmienie, dziecko jest żywione mlekiem kozim lub krowiem, do którego po pewnym przeciągu czasu dodają małe gałeczki masła. Służąca, lub, jeśli jest, starsza siotsra podziela z matką starania około dziecka.

Po czterdziestu dniach zanoszą dziecko do kościoła, chrzczą je, zanurzając całe w wodę. Kościół jest to duża rotunda, podobna do innych domów, której rościągłość zastosowana jest do miejscowej ludności. W pośrodku wznosi się ołtarz, w szczytowej okągłej salce, do której mają przystęp tylko księża i usługujący, do koła zaś ciągnie się długi korytarz, gdzie są przeznaczone miejsca oddzielne dla mężczyzn, oddzielnie dla kobiet.

W końcu jest trzeci korytarz szerszy, do którego mają wolny przystęp wszyscy. Każdy musi uczęszczać na mszę; uroczyste święta są liczne i ściśle przestrzegane, jest zwyczaj zachowywania postów w dni świąteczne. Abisynczyk bywa religijny, ale bez zbytniej gorliwości, w stanie spokojnej wiary.

Mała Etiopka wzrasta, otoczona jak wszędzie troskliwością. Uczą ją naprzód siadać w kuczki, następnie chodzić; w czwartym roku zaczyna się jej edukacja. Uczą ją czytać, Biblii, psalmów Dawida, jedyna to literatura pisana, jaką posiada język abisynski. Dziecko przez kilka lat wprawia się w czytanie i pisanie, bo język jest dość skomplikowany. Alfabet *amcharyński* czyli abisynski posiada tylko trzydzieści trzy litery główne, ale każda sylaba przyjmuje po sobie spółgłoskę, która się znów zmienia stosownie jak po niej następuje ta, lub inna samogłoska. Tym sposobem liczba liter przewyższa daleko wyżej cyfrę stu. Przez kilka lat dziecko chodzi do szkoły wyjąwszy świąt; ale jeżeli rodzice są bogaci dzieci uczą się w domu; profesorem zwykle bywa kantor kościelny, lub kleryk. Spotkawszy takiego nauczyciela, idącego na lekcję niktby nie przypuszczał że to taka poważna osoba; jak wszyscy Abisynczycy chodzi boso, pantalonicy ma białe, bawełniane krótkie, zaledwie dochodzące do kolan, udrapowany w peplum białe z czerwonymi pasami (diano), który nosi na wzór starożytnych Rzymian. Głowę ma odkrytą. Taki jest zwyczajny ubiór mężczyzn. Niektórzy noszą burnusy wełniane lub jedwabne, i kapelusze pilśniowe o szerokich skrzydłach.

Ubiór kobiet nie zmienia się. Wszystkie noszą koszule białe z krajowej bawełny swego przedzenia, a utkane przez swego tkacza. Nici bywają grube i nierówne, więc i tkanina przedstawia grube ziarna, miękkie w dotknięciu. Ta koszula jest zawsze krajana i uszyta z podwójnej materii: trzy otwory mniej więcej przyzodowane tworzą w górze kołnierz, i dziury do rękawów, których wcale nie ma. Zwykle jest ta koszula dłuższa o 15 lub 20 centymetrów niż postać abisynki: podnoszą ją, formując fałdy w koło figury i przepasując się paskiem, lub szarfą muslinową, jedwabną, albo z jakiegokolwiek innej materii w ten sposób, że brzegi opadają zakrywając łydki i tworzą krótką spodniczkę.

Podczas zimna kobiety tak samo jak mężczyźni obrzucają się *diano* lub burnusem.

„Panie“ wkładają lub zdejmują rękawy podług upodobania, przyczepiając je do koszuli, a że rękawy te są bardzo długie, a ciasne u ręki, gdzie się spinają na guziki, więc je podnoszą i układają w taki sposób, aby się wzdymały przy ramieniu.

Koszula taka jest zapisana na guziki kościane lub porcelanowe.

Damy jeżdżą na mułach sadowiąc się na nich jak mężczyźni; do konnej jazdy wkładają pantalon białe bawełniane zapięte i ściśnięte koło kostki.

Sama tylko cesarzowa ma prawo przybierania się w klejnoty i złoto i osłaniania się czerwona ombrelką.

Inne damy noszą przybrania ze szkiele, pereł, srebra, lub srebrne, pozłocane, i wszystko to niewykwintnej roboty; parasolki noszą czarne. Znakiem dla panny mają pozwolenie przechadzania się z parasolkami białymi, a wychodząc z domu zakrywają twarz welonem muslinowym lub jedwabnym.

Na szyi zawsze, mają wstążeczkę niebieską na której wisi łańcuszek lub krzyżyk.

Młode panienki ubierają się zupełnie jak matki, z tą różnicą że nie wolno im nosić klejnotów, oprócz jednego koleczyków, z perełkami. W miarę jak wolny jej odrastają, przyzwyczajają je układać po abisynsku (trzeba przyznać, że bez gustu), albo przycinają włosy *a la Titus*.

Wiele dziewcząt miewa tonsurę większą od księży, reszta włosów jest wtedy króciutko przycięta.

Niektóre kobiety dzielą włosy na kilku pasów, odłączając je przedziałami prostymi idącymi od czoła do karku, te pasy splatają bardzo ciasno; tworzy to masę małych ogonków wężykowato opadających koło głowy, co efektownie nie wygląda wcale. A że takie czesanie wymaga przynajmniej pół dnia czasu, aby je porozplatać, urządzają się tak, aby uczesanie trwało jak najdłużej. W tym celu używają powszechnie nieznośnego sposobu smarowania włosów masłem pomieszanem z sokiem jakiegokolwiek rośliny. Można sobie wyobrazić jaką to woń wydaje!...

Młode dziewczę rośnie z braćmi i siostrami; z początku w zabawie, naśladuje zajęcia matki i kobiet domowych, próbuje prząść, siedząc w kucki na ziemi w dużej „sali“ przy swej matce i jej przyjaciółkach, które również przędą, i podobno bardzo dużo mówią. Dziecko dla zabawy także ma małe tamburino, na którym po wyciągniętej skórze nie tylko ono ale i mama i starsze osoby lubią brzdąkać, przyspiewując popularne zwrotki, wspomnienie pieśni improwizowanych przez *asmaris* (trubadurów) podczas uroczystości na cześć Negusa, wojowników, lub pogromców słoni. Sami tylko *asmaris* mają prawo posługiwania się instrumentami muzycznymi, dość niezgrabnie zrobionymi; są to flety i trąbki bambusowe, rodzaj skrzypców o jednej strunie, gatunek arfy lub liry bardzo dawnej. Muzyka Szooanów, jest monotonna i nieharmonijna.

Mała dziewczynka abisynska przypatruje się tkaczowi przy jego robocie, kucharce, skoro ta miele a raczej tłucze mąkę i ten sławny pieprz berberi, gdy sieka kapustę lub kraje pieczeń etc. W krótkim czasie pomaga matce dozorować służbę. W biedniejszym stanie, bardzo wczesnie używana bywa do cięższych robót. Dziewczęta idą po wodę, najczęściej do dość odległej rzeki, przynoszą drzewo, różne prowizye i pilnują kuchni. To są specjalne zajęcia kobiet. Mężczyźni pracują w polu, tkają płótno, a nawet szyją i piorą bieliznę.

W Addis-Ababa codziennie bywają targi, a co sobota jarmarki. Są tam nagromadzone poważne towary, rozłożone na ziemi, po których stąpają konie, muły, osły, woły, barany; można sobie wyobrazić chaos jaki tam panuje.

Około dziesięciu lub dwunastu lat Abisynka jest kobietą skończoną; wychodzą za mąż w czternastym roku. Dotąd miała wolność i swobodę.

Małżeństwa układają rodzice między sobą. Panuje tam zwyczaj, że panny nie dostają żadnego posagu, tylko porządną wyprawę. Pan młody powinien wykazać, że jest w stanie utrzymać żonę i prowadzić dom.

Skoro to wszystko jest uregulowane, następuje ceremonia. Ojciec panny zaprasza sześciu świadków ze strony narzeczonej jakoteż sześciu ze strony pana młodego, dalej naczelnika (rodzaj burmistrza) i księdza z sąsiedniego kościoła.

Po zebraniu się zaproszonych w dużej „sali“ ojciec z całą powagą oświadcza, to o czym już każdy

wie, że ten a ten młody człowiek ma zamiar zenić się z jego córką: „Cóż wy o tem myślicie?“ Każdy daje swoje zdanie o charakterze, wartości moralnej, zręczności, pracowitości, odwadze narzeczonego, etc. etc.

Ta sama ceremonia i te same zapytania dotyczą panny młodej, i znów ojciec zapytuje: „Cóż wy o tem myślicie?“ Po tym wstępie oznaczają dzień ślubu, na który zapraszana bywa cała okolica. Świadkowie, ksiądz, burmistrz, przyjaciele mieszczą się wewnątrz domu, reszta zaproszonych przyjmowani są na zewnątrz. Uczta trwa trzy lub cztery dni, tak długo, dopóki starczy jadła i picia. Jedzą bardzo nieporządnie; ręka służy za widelec i łyżkę, sługi klęczą w pośród gości, podają im kawałki chleba a raczej ciasta, maczając je wprzód swemi palcami w sosie straszliwie pieprzonym. Zaproszeni rozrywają małym nożykiem surowe kawałki mięsa wołowego lub baraniego, zjadają je ze smakiem, maczając w narodowym sosie (brondo). Wszystko to popijają miodem i kawą, przyprawioną korzeniem gwoździkowym.

To, co powyżej powiedziano o ślubach, nazywa się małżeństwem cywilnem. Niektórzy przyłączają do tego małżeństwo religijne w kościele Koptyckim i to ostatnie małżeństwo jest nierozdzielne, tymczasem w pierwszym rozwód łatwo się otrzymuje.

Zdawałoby się z powyższego pobieżnego opisu, że położenie kobiet Abisynskich jest pod pewnym względem szczęśliwsze od Europejskich, ale tak nie jest.

Była mowa o Abisynczykach i Szooanach, ale oprócz tych istnieje tam jeszcze hołdowniczy szczepek Gallasów, w rzeczywistości zaś niewolników, u których rola kobiety ogranicza się na spełnianiu obowiązków służącej.

W cywilizacji europejskiej kobiety są najswobodniejsze i, pomimo małej liczby nierozważnych, które pod pozorem jak najspiesniejszego nabycia równouprawnienia z mężczyznami, zajmują stanowiska nieodpowiednie ich siłom, — terazniejsza kobieta cywilizowana ze swoim naturalnem powołaniem zostanie zawsze prawdziwą kobietą.

W OBOZIE.

Opowiadanie Ad. Mieleckiego.

Przemyśl.—Koniec Czerwca.

Południe.

Słońce pali bez litości; żeby choć technienie wie-tryka, choć obłoczek małeńki — nie. Pył mialki, żółty, przenikający w najmniejsze szparki, wzbijający się za przejeżdżnymi i pieszymi na gościeńcu, zawisł w rozpalonym powietrzu ognisto — żółtym słupem. Ptaki i zwierzęta — wszystko się pochowało; nawet psy, które się tak lubią wygrzewać na największej spiekocie, pozaszywały się w cień gdzieś i powyciągane leżą jak nieżywe. Trawy nawet śladu, wypalona. Liście na drzewach poschły, pokureczyły się i okryły takim pokładem pyłu, że aż przykro patrzeć. Trudno, prawie niepodobna oddychać! Każdy leży przygnębiony jakby jaką rozpaczą, czując nie tylko obezwładnienie, niepodobieństwo zupełnie zająć się czemkolwiek, ale nawet niezdolność myślenia, i tylko zrzadka westchnie, i dręczy się w oczekiwaniu co chwila, że się roztopi jak cukier w wodzie.

Ten nieznośny upał, ta nie dowytrzymania — męcząca zaducha, daje się czuć jeszcze więcej pod cienkiem płótnem namiotu, przez które tak przebijają promienie słoneczne...

W obozie, jakby wymarło: każdy u siebie leży i cierpi zrezygnowany. Widnieją tylko deżurni i warty na wedetach w białych kaftanach.

I tylko Wisła — jedna Wisła tylko, nie poddała się temu upałowi, wspaniała, spokojna, toczy jak zawsze swe wartkie, potężne nurty. Ją nie obcho-

dzi spiekota. Z nią, może tylko pójść za barykady, a i jemu się to nie udaje zupełnie i nadługo: skuje ją po wierzechu, a ona pod lodem wre i szumi, i gniewna, złamie swe lodowe okowy, i jeszcze się szersza, jeszcze piękniejsza, jeszcze swobodniejsza rozejdzie.

— Czwartego bataljonu, Kubik! do kapitała! zawołał czyjś głos ochrypły, naruszając tę ogólną, prawie martwą ciszę.

Ocknęli się deżurni, pozrywali z miejsc swych, i każdy, od posterunku do posterunku, zaczął wywoływać rozkaz, podnosząc go na wszystkie tempa.

Kubik, młody żołnierz, wysokiego wzrostu, zgrabny, o smagłej twarzy i pociągłych rysach krakowiak, z dużymi błękitnymi oczyma, krótko podstrzyżonymi po wojskowemu włosami, leżący dotychczas z założonymi rękoma nad głową, tak błogo i leniwie, że zdawało się, trąba archanielska nie byłaby go zdolna poruszyć, chwycił się tak prędko, jakby mu w grzbiecie wetknięto tuzin szpilek, i z pośpiechem zaczął się ubierać.

— Kubik! czyś tu? wsunęła się głowa kaprała bataljonowego.

— Jestem! niezwłocznie... Dyć ubieram się.

— A jeno żywiej, sypl! Kapitan woła!

I Kukik, którego kaprał, dla zadość uczynienia sumieniu swemu, ciągle napędzał, ze zdumiewającą szybkością, najdłużej w parę minut, zdążył umyć się, przeczesać, okrzatnąć, i w ogóle dopełnić tego wszystkiego, „czego wymagał należy i przyzwoity wygląd żołnierza.“

Po chwili, już stał przed namiotem dowódcy bataljonowego i, wypreżony, oczekiwał nim go zamelduje ordynans.

— Niech wejdzie! rozległ się głos kapitana w namiocie.

Kubik zgiał się w kabłąk, weiskając przez drzwi płócienne, i znowu stanął we froncie.

— Na! masz list z domu, z dwoma guldenami, od rodziców zapewne.

— Pokornie dziękuję wielmożnemu kapitanowi! harkotnął Kubik wesoło.

— Ruszaj! a pieniądze strzeż, durniu!

— Wedle rozkazu, wielmożny kapitanie! nie pokazuje się!

Kubik uszczęśliwiony, wyszedł z namiotu. Serce mu biło gwałtownie...

„Czegoż się zadyszam, jakbym lał pod górę?“ zapytywał sam siebie, ściskając mocno w garści list odebrany, jakby istotnie niósł jakiś skarb w rękę i bał się, żeby mu go nie wydarto.

— Panie Michał! dozwólcie na Wisłę, wykapać się, rzekł, zatrzymując się u namiotu, z pod którego uchylonego podłóża dawała się widzieć postać atletycznej budowy podoficera, przypominającego powierzchnością swą czasy owe...

— Jeno do rejestru, bacz, wracać mi!

— Wedle rozkazu! nie omieszkać. Pokornie dziękuję!

— A od brzegu: ni, ni! Gdzie „ludzie!“ Dasz dęba, cały kram, i potem odpowiadaj za siebie!

— Wedle rozkazu, panie Michał! tam, gdzie „ludzie.“

— To, to! Z Bogiem!

Kubik, jak wymagała przyzwoitość, jeszcze raz powtórzył „pokornie dziękuję,“ i skierował się ku Wisłę.

Ale nie szedł kąpać się.

Wyprosił się, żeby przeczytać list na ustroniu, nie widziany od nikogo: W obozie, pomiędzy „ludźmi,“ zaradby go rozpytywano, dopominano się na tę radość, odebrania listu z domu, o pocztunek. On by go pewno nie żałował dla kolegów—ale nie było za co: służba obozowa ledwie się rozpoczynała, a buty potrzebowały reperacji gruntownej; oprócz tych, odebranych z domu, dwóch guldenów, innego nie miał „funduszu“ i nie mógł go z nikąd oczekiwać.

Kubik odszedł daleko od miejsca wytyczonego na kąpiel dla żołnierzy, o pięćset jakie kroków w górę rzeki, kierując się ku olbrzymiej topoli nadwisiańskiej wznoszącej się nad krawędzią samego urwiska tak, że część jej obnażonych korzeni zwisała i wahała się w powietrzu...

Takich drzew spotyka się dużo nad brzegami Wisły i mnóstwo corocznie ich ginie bez żadnego użytku, ułatwiając tylko tworzenie się mieliznom. Nieraz rośnie sobie takie drzewo lat kilka-

dziesiąt, a brzeg podmywany, z pod stóp mu, coraz i coraz się usuwa i drzewo coraz się zbliża do urwiska, i oto następuje chwila, gdy ujrzy się nad samą przepaścią, połowa jego korzeni obnaży się i bezwładnie zawisnie w próżni rozcepierszonych nad wodą, jakby z przerażenia, w daremnem oczekiwaniu opory. Przykro patrzeć na takie drzewo, pełne sił, piękności i życia, z nieuniknionym wyrokiem zaguby... Może przestoi tak jeszcze rok, dwa lata, i nakoniec runie z okropnym trzaskiem, jakby ostatnim jękiem boleści; na kilka staj wokoło zanurtuje gładka powierzchnia wody, wzbija się wysoko bryzgi, ciskając kaskadą klejnotów, ze wszystkich stron nachłona na niego fale, jakby rozgniewane za naruszoną ciszę, i uniosą daleko od rodzinnych brzegów, i będą bić i szamotać dopóty, dopóki wiatry albo znowu go nie przybiją do brzegu, albo namokłszy, nie zatonię i na lat sto zasiądzie w głębiach „karczem,“ doprowadzających rybaków do rozpacz, którzy rwą o nie swe sieci...

Odsapnąwszy całą piersią i zdjawszy kaszkiet, Kubik ujął list w obie ręce, zbliżył go do samych oczu i długo rozpatrywał adres, stemple pocztowe, bury lak z odciskiem naparstka, i nie zdecydował się na rozpieczętowanie koperty, dopóki nie wystudował na niej każdego znaczka, każdej kreski. Ostrożnie wyjął ewiarę szarego papieru pokrytego najdowolniejszymi karakolami, jakkolwiek nie bez pewnej pretensji na znawstwo pisma, którego wyczytanie nieobeznanemu z niem niemniej przedstawiało trudności jak wyczytanie samych hieroglifów, pilnie przejrzał zbrukane i przetarte w kilku miejscach asygnatki guldenowe, i dopiero wtedy zabrał się do czytania.

„Drogi i z serdecznie kochany nasz synu, — zaczął czytać dla łatwiejszego zrozumienia głośno, ale gdyby czytał myślą, nieby nie rozumiał.—Od pierwszego naszego wiersza rodzicielskiego, ojca i matki twojej najukochańszej, tego listu, przesyłamy tobie, nasz drogi i z serdecznie kochany synu, ojcowskie i macierzyste błogosławieństwo, które miłe nam jest i tobie powinno być do grobu życia twego; a powtóre kłaniamy się tobie, twój ojciec i matka twoja najukochańsza, z miłością i szacunkiem, i w same ciebie całujemy cukrowe dla nas usta; i także kłania się tobie Hanusia, małżonka twoja, a nasza z serdecznie kochającą synową; i także kłania się tobie Kaśka Kręciszowa, siostra twoja i z dziećmi swoimi, przesyłającami tobie swój szacunek i kłaniają się tobie do samych nóg...“

— A od Jontka nie ma ukłonu!—z zadziwieniem pomyślał Kubik, bo wyraźnie piszą, że kłania się żona, a o synu żadnej wzmianki.

Zaczął czytać od początku: może jakim sposobem przelepił? Nie, nie przesyłali ukłonu od syna.

— Zapomnieli,—zdecydował, niedorozumiewając.

„A także kłania się tobie Stefan Mrówka twój wuj i z żoną swoją...“ i t. d. ukłony od wszystkich krewnych i znajomych po kolei szły na czterech stronicach. Wszystko to Kubik czytał z wielkim zajęciem i najwyższą ciekawością.

Na czwartej stronicy, przy samym końcu listu, był dopisek: „U nas, chwala Panu Bogu Stwórcy najwyższemu, wszystko pomyślnie i wszyscy jesteśmy zdrowi, czego i tobie życzymy od rodzicielskiego serca, ojca i matki twojej najukochańszej, tylko Hanusia, małżonka twoja, strasznie się rozbiła i drgająca jest, że Jontka, syna twego, Pan Bóg wziął do siebie!“

Przeczytał ten wiersz Kubik i nie zrozumiał, tylko mu się serce skureczyło, jakby je kto w garść wziął i ścisnął z całej siły. Przetarł oczy i przeczytał jeszcze raz, czy tylko dobrze przeczytał, czy się nie pomylił... Nie, tak stało wyraźnie.—Co to? Boże!... Jontek umarł. Boże!

List i zbrukane guldeny wypadły mu z ręki, i tak, sunąwszy się, siedział pod topolą i patrzył gdzieś w przestrzeń na Wisłę, na drugi brzeg rzeki ginący w liliowej oddali, na parostatek przecinający ze świstem chyżo jej fale, na wicinę krążącą wokoło mielizny—patrzył, i wszystko to widział, i jednocześnie nie nie poznawał. W piersi mu się ścisnęło, jakby je przywalono całym centnarem, i mgiło mu się coraz w oczach, a w mgle tej przesunęła się to rozwalona jego chałupa, to wybladła Hanusia, to kędzierzawa płowa główka Jontka, i w uszach rozlegał się dźwięczący wesoły śmiech złotowłosego chłopczyka...

Długo tak siedział.

Przesiedziałby może do późnej nocy, gdyby nie przypomniał o rejestrze i musztrze, na którą czas było pośpieszyć.

Zerwał się jak ubodzony ostrogą Kubik, wsunął list do kieszeni i poszedł, z trwogą nasłuchując odgłosu bębnow i trąbek nagrywających rozmaite hasła. Dopiero w połowie drogi przyszedł mu na myśl guldeny, które zapomniał: — Dyć trudno zostawić pieniądze!—Wrócił, znalazł porzucone w trawie papierki, i podwojonym krokiem pośpieszył do obozu.

Spieszył, biegł prawie pędem, a przed oczyma migotał ciągle Jontek, to biały, rumiany, z wesołymi oczętami; to znowu blade, wyżółkły, z zaostrozonym noskiem, złożonymi na krzyż małymi rączkami, i zalewało się serce żołnierskie, i biegł jeszcze prędzej...

Już się szeregował batalion do rejestru, gdy zdyszany Kubik przypadł do swego namiotu i drżącymi rękoma zaczął wdziawać ryszstunek.

— Zawora! Duchem do rejestru! Wara odtań!—burezał z gniewem kaprał, który go urlopował do kąpieli.

— Wedle rozkazu, panie Michał! — machinalnie odrzekł Kubik, i przy tasaku dosięgnął rzemienia pendent, stanął na swem miejscu.

— R-ó-wnaj się!...—Pierwszy, drugi...—Lej!

— Pierwszy!

— Drugi...—zaczęli pokolei wywoływać żołnierze, bystrym doraźnym ruchem zwracając głowy jeden do drugiego; doszła kolej do Kubika, a on się zamyślił i patrzył... ciągle płowa główka stoi mu przed oczyma...—i nie pamięta, który jego numer; czy ma wykrzyknąć: pierwszy, czy drugi...

— Zbarania!—Słysz!—Ja cię tu zbaranię!—zaklął sierżant.

Kazał liczyć od początku.

Zaledwie rejestr skończono, gdy wachmistrz dał znać, że kapitan nadechodzi.

Zbliżył się kapitan, salutował, batalion wyciągnął na plac; musztra się zaczęła. Kubik patrzy, słucha i nie słyszy komendy. Już go kapitan kilka razy ofuknął, zagroził karą, a on ostatnie dobywa wysiłków i nie może zmódlz siebie; w głowie mu się ciągle mąci...

Musztra trwała długo; żołnierze pomęczeni, od stóp do głów pokryci pyłem, chociaż na pozór nie okazywali znużenia, każdy ledwie się trzymał na nogach... Nakoniec, miało się już ku zachodowi, gdy kapitan zwinął szeregi i zwolnił batalion do obozu.

— Na pra-wo!—Se-keya-mi!—Broń wo-lno!—zakomenderował. Marsz!

Każdy zręcznie chwycił osadę swego sztucca, prócz jednego Kubika, który, chociaż uchem słyszał i wziął broń na ramię, ale zrobiły to jego ręce same, nie wiedząc o tem.

Kapitan był zły, i było czego: Przez całą musztrę, tyle nieuważli!

— Kubika pod areszt na chleb i wodę!—krzyknął do sierżanta.

Kubika pierwszy raz sadzano do aresztu; był on jednym z najgorliwszych służbistów, pilny zawsze, nigdy w niczem nie notowany. Teraz, nie tylko kapitan — sierżant, wachmistrz, nawet koledzy nie rozumieli, co mu się stało; ale i sam Kubik dziwił się, jakie z nim dzieje „lieho,“ i, w prostocie ducha, zawyrokował bez ochyby, że to nie innego, jeno uroki...

Cieężko mu było ponosić karę tę, na tylnych szanach, razem z urwisami wszelkiego rodzaju, a jeszcze ciężej—ich rozpytywania, gdy go natrętnie otoczyli: jak?—kto?—za co?—nadługo?

Na wszystko odpowiadał półgębkiem, czem ich przeciw sobie nawet oburzył i, zaszywszy się w kąt, udał, że śpi.

Ale nie było mu do snu...

Trzy doby, które wysiedział pod aresztem, wydały mu się kilku miesiącami.

Długimi szczególnie wydawały się noce, podczas których tułał się z kąta w kąt, i nie mógł sobie znaleźć miejsca. Zniemożony, dopiero zasypiał o świcie, ale i wtedy nie dawały mu spokoju okropne widma: To widzi raz Jontka we krwi całego, w jednej koszulce, biegnie po polu, a krew się z niego sączy, a za nim ugania czarny ogromny kot, zlizuje ślady krwi, i ot, ot, już go dopędza, a on mu chce biedz na pomoc, a sztyldwach go nie puszcza i mówi, że aresztant nie może pod żadnym względem, wy-

chodząc; to znów mu się bredzi, że nie spełnił rozkazu dowódcy, za co go oddano pod sąd i mają wywieźć gdzieś na Morawy, a on się żegna z Hanusią, zanoszącą się od płaczu i trzymającą na ręku Jontka, który rwie się do niego i woła: „Ja z tatą!“ to znów, że podczas jego stójki, wykradziono z cejkhausa wszystkie ładunki, co go tak przeraziło, że krzyknął i rozbudził cały odwach...

Ale tak czy inaczej, termin aresztu upłynął, i wypuszczono go.

Otrzeptał się, przeodział i, jak każe zwyczaj, poszedł z meldunkiem.

— Mam zaszczyt stawić się z aresztu, wielmożny kapitanie! zaraportowałem, wyciągnięty przed dowódcą, który wyszedł do niego z namiotu.

— Co się to dzieje z tobą, Kubik? dość łagodnie spytał go kapitan, wpatrując się.

— Nie wiem, wielmożny kapitanie!... Zawiniłem, rzekł nie drgnawszy żadnym muskułem i, stosownie do regulaminu, wpijając wzrok swój w oczy dowódcy, jakby w nie sam chciał wskoczyć.

— Rzeczy przeszłych nie lubię odegrzewać. Co minęło — minęło. A nadal wara, durniu, żeby mi tego nie było!

— Zawiniłem, wielmożny kapitanie!

— Ruszaj!

Kubik wrócił do bataljonu i jał się natychmiast do oczyszczania rynsztunku; ale wszystko, co robił, z rąk mu wypadało: sztucca przekreślił, wiszory zadział, gwint złamał... a na sercu mu „smoktało i smoktało“ ciągle...

— Co dyć z tobą, Kubik? Nie rozumiem ty swoim sadzisz! Czy wyżyła jaka widma na ciebie? zwrócił się doń nakoniec jeden ze starszych kolegów, przypatrując niezwykłemu jego zachowaniu.

— Ja i sam, bracie, nie wiem! Smokcze mi — i już! Tak — tu, i podpieram wskazał obiema rękoma na pierś.

— To uroki na ciebie!.. To zawsze tak! Spróbuj ino miarkę pieprzówki, i zaraz nie będzie ci tak czarno w dziobie. Pomoże, jak Bóg miły!

„To, niby, i wypić, doprawdy!“ pomyślał Kubik, i zrzykowany na „sprobunek“ leku tego, wdział kaszkiet i wybiegł do markietana.

Nie pijał nigdy wódki, „nie wdawał się w to“, tylko raz, gdy go przeprowadzono do „Kriegskunstu“, wypił kieliszek „Franz-Josepha“, i pamięta dotychczas, jak mu wtedy odrazu „odeszło“ na sercu.

Szałas markietana, opodał łańcucha, naprędcie spleciony z chrustu, bez pułapu i podłogi, wszedłszy, zastał Kubik zupełnie pustym, tylko w jednym kącie siedziało kilku pisarzy sztabowych i piło herbatę, chociaż po ich twarzach zarumienionych, widać było, że musieli przedtem pić co innego.

Oddawało w nim wilgocią, wódką i przegarami knastra.

— Proszę pana Jankiela o kieliszek pieprzówki, nieśmiało rzekł Kubik, zwracając się do żyda — markietana, który z początku spojrział z pewnem zadowoleniem na kundmana, ale po tak grzecznem przemówieniu jego, nagle przybrał minę poważną, ziewnął i, nie kwapiąc się, od niechęcia, nalał mu kieliszek ciemno-orzechowego płynu.

Kubik jednym haustem polknął go i uczuł, że mu gębę, gardło i wnętrzności, jakby kipiátkiem sparzyło, na kilka chwil zatamowało nawet oddech, ale prawie jednocześnie, owo „smokczące“ go usposobienie, które nie dawało mu spokoju, znakomicie sfolgowało: nieźrównanie zrobiło mu się lżej na sercu.

„Sprysz!“ pomyślał. „Dawno należało tak!“

Każdego „pludra“, kielich tej nalewki, w której ważyło przynajmniej pięćdziesiąt procent pieprzycy, zdławiłby niechybnie, ale, jak się wyraził Kubik, dla niego był tylko „spryszem.“

— Nasypta, panie Jankiel, bądźcie łaskawi, jeszcze miarę, dobitnie wymówił i, „wsunawszy“ drugi kielich tej samej piekielnej mikstury, wykreślił z punktu zwrot w tył i zawrócił do obozu.

Z każdą chwilą, z każdym krokiem, robiło mu się weselej, i gdy przeszedł wedety, ryknął na całe gardło:

Serce męztwem, dłoń żelazem

Zbrojmy, bracia...

— A czegoś tak się rozchodził, ty! ofuknął go wachmistrz.

— Co zacz tam? dał się słyszeć głos sierżanta.

— Kubik, panie sierżancie!

— Bacz go! Legjony zawodzi!... zburmaniał?

Sierżant Drynda, przy napomnieniach żołnierzy, lubił wyrażać się figurycznie, wykazać z jakimś mądrym słowem, t. j. powiedzieć coś, czego nikt nie rozumiał. Na żołnierzy oddziaływało to sposobem kombinacyjnym i razem straszło tajemnicą znaczenia symboliki, a tem samem zjednywało dla Dryndy większą powagę. Niektórzy podoficerowie próbowali go naśladować, nawet nieraz nie bez pewnego powodzenia, ale, w każdym razie, nie wypadało to u nich tak pięknie.

— Kubik! — sam tu! — zawołał Drynda, wyglądając z namiotu w szarej bluzie i w rajtuzach.

— Wedle rozkazu, pa... nie sierżancie! — płaczącym się językiem wybełkotał podchodząc do niego Kubik.

— El! bratku... tu cię boli! Gdzież to tak Pan Bóg uwielbładził?

— Zawiniłem, paa... nie... sie... rżancie!

— Wiem ja i bez ciebie, żeś zawinił, a winnych sadzają do ula!

— Wedle rozkazu, paa... nie... sie... rżancie!

— Z jakiegoż to postanowienia, to jest od jakiego konsekwensu pochodzi twoja przyczyna?

— Od ur... rroków, panie sierżancie!

— Po regestrze rozpatrzę tę proklamację! — A teraz ruszaj albo spać, albo zrezygnuj!

— Po... kornie dziękuję, panie sier... nie domówił Kubik, dostawszy czkawki.

Odprowadzono go do namiotu, rozebrano, położono.

Przed rozpoczęciem musztry, sierżant zaraportował kapitanowi, że Kubik upił się.

— Co mu się stało? — zdziwiony zapytał kapitan. Najlepszy żołnierz i zaczyna lajdaczyć?

— Trudno! — wielmożny kapitanie! — Mówi, że uroki.

W rozmowie z dowódcą, Drynda nie używał swego pomysłowego krasomówstwa, zachowując go do napomnień dla podkomendnych, i wyrażał się jak zwykły śmiertelnik.

— Co, u licha! — Coś jest tu, chyba nie tak... — Przyszlij go do mnie jak się wyśpi.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Rada opiekuńcza zakładu Ś-go Stanisława Kostki złożyła przez dzienniki podziękowanie za ofiary otrzymane na budowę domu kalek, która to budowla ma się wzniesić obok kościoła Ś-go Augustyna. Zakład ten będzie wzniesiony według planu budowniczego Hussa. Plan sporządzono bezinteresownie, budowę prowadzić będzie p. Czosnowski, starszy zgromadzenia murarzy, a przyjmie ona po wykonczeniu 160 kalek, połowę mężczyzn, połowę kobiet.

— Wystawa higieniczna jest licznie zwiedzana, w przeszłą niedzielę zwiedziło ją osób 830; studnia artezyjska na wystawie będzie gotowa d. 1-go Czerwca. Ukończono świeżo kilka nowych kiosków, między którymi bardzo ozdobnym jest kiosk w stylu tureckim, firmy Spiessa. Kiosk Westy, bardzo ozdobny mieści wielką ilość okazów, chata ludowa z rozmaitych okolic kraju. Place wystawy mają nazwy: Hebe, Zdrowia, Zdrojów, Olimpijski, Gastronomiczny; ulice są: Tereusza, Hygei, Gambrynusa, Apolina, Ratunkowa, Galena, Klio, Ludowa i inne. Główną arterią jest tu aleja Eskulapa. Popis gimnastyczny w oddziale p. Janiny Andersówny, oraz dzieci już starszych pod kierunkiem p. Gebethnerówny odbył się zgodnie z planem, równie jak i popis gimnastyczny w oddziale p. Kuczałskiej. Popisy odbywać się będą bez zmiany.

— Zabawa muzyczna na dochód schroniska dla małych dziewcząt odbędzie się w d. 8 Czerwca. „Wieczór letni“, bo takie miano mieć będzie, zgromadzi na estradzie pomiędzy innemi osobami pp. Leszczyńską, Szlezingerówną i p. Nowickiego, dla którego jeden z komedyopisarzy pisze sztukę jednoaktową.

— Krakowskie Towarzystwo sztuk pięknych odbyło losowanie dzieł sztuki, przy czem dyrekcya Towarzystwa nabyła 52 obrazów olejnych za 6,970 zł. reń., akwael 10 za 1,070 zł. reń., rzeźb za 100 zł. reń., sztychów 19 za 140 zł. reń.

— Na zebraniu Krakowskiej Akademii sztuk pięknych prof. Odrzywolski przedstawił rezultat badań swoich w archiwum państwowym w Dreźnie. Wynotował on wiele szczegółów cennych do dziejów budownictwa w Krakowie i w Warszawie w początku XVIII wieku i przedstawił dwa największego znaczenia rysunki, a to: zdjęcie fotograficzne z malowanej akwarelą sceny w prezbiterium katedry na Wawelu, a która przedstawia chwilę przed przybyciem na koronację Augusta III; dalej poziomy rys katedry na Wawelu również z tego czasu. Prof. Odrzywolski wykazał twierdząc, że rys ten zrobiony już był po zmianach dokonanych w starożytnej tej budowli. Zaznaczone są na nim jednak liczne zabytki dziś już nie istniejące, lub przeniesione gdzieś indziej. Dalej prof. Piekoziński czytał pracę swoją „O pradynastach szlachty polskiej.“ Autor dowodził, że polacy nie są autochtonami w krajach między Odrą, Wisłą i Notecią, lecz szczepem napływowym. Ludność zdolną do noszenia oręża oblicza autor na 35,000, wykazując, że była ona zorganizowana w pułki, z których każdy liczył 1,000 ludzi pod wodzą wojewody i znakiem stanniczem, czyli chorągiewnym. Te znaki stannicze, czyli chorągiewne, to najstarszy związek heraldyki naszej. Godność dowódcy przechodziła wraz ze znakiem na najstarszego syna, więc w drugim już pokoleniu bracia młodzi zaczęli przybierać osobne znaki stannicze. Prof. Rostafiński złożył „Mate-ryały do staropolskiego słownictwa botanicznego.“

— Krakowska Akademia Umiejętności została zaproszoną do wzięcia udziału w uroczystości jubileuszowej, która się odbędzie w Glasgowie dla uczczenia znakomitego fizyka, Williama Tomson'a który w Czerwcu obchodzić będzie pięćdziesiąt rocznicę nominacji na profesora uniwersytetu w tem mieście. Jako reprezentanta swego wysłał Akademię Dr. Władysława Natanson'a, profesora fizyki matematycznej przy uniwersytecie Jagiellońskim, aby złożył stosowny adres w imieniu Akademii.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 3 i 4 powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — Kędy droga? Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — Z Włoch, przez Augusta. — Kobieta abisyńska. — W obozie. Opowiadanie Ad. Mielezki. — **Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 3 i 4. — Przegląd mód. 22 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.